

Premiera „Andrea Chenier” w reżyserii Mariusza Trelińskiego

Kabaret pod gilotyną

Dla nobliwej publiczności, wciąż nieprzywykłej do tego, by operze dodać odrobiny wulgarności i perwersji, poznański spektakl jest wyzwaniem. Dla bezgranicznych wielbicieli reżysera – kolejnym potwierdzeniem jego artystycznej wielkości. Ja się nie oburzam ani nie wpadam w cięły zachwyt. Dostrzegam natomiast, iż wieczny chłopiec Mariusz Treliński zaczyna dorastać.

Z jego dotychczasowych dużych inscenizacji operowych ta pierwsza („Madame Butterfly”) wciąż jest najlepsza. Później zaczął zachowywać się jak dziecko oszołomione nadmiarem otrzymanych zabawek – trudno mu było zrezygnować z którejkolwiek z nich. Mnożył efektowne, lecz puste pomysły, by apogeum tego osiągnąć w „Don Giovannim”. Zrealizowana niedawno w Berlinie „Dama pikowa” była pierwszym sygnałem, że być może kończy się czas beztrojskiej zabawy w teatr.

Poznański „Andrea Chenier” jest podobny do jego wcześniejszych spektakli, ale i inny zarazem. Mariusz Treliński zachował inscenizacyjny rozmach, ale wie, czemu ma on służyć. Po raz pierwszy tak mocno zbliżył się do niemieckiego teatru operowego, w podobny sposób miesza epoki historyczne, przede wszystkim zaś jego „Andrea Chenier” ma ten sam rodzaj ekspresji i emocji co inscenizacje Jürgena Flimma lub Petera Mussbacha. Widz nie może liczyć na ciepłe i

ładne obrazki, ponury świat sceniczny budzi grozę i ostrzeżenie.

Najpopularniejsze dzieło Umberta Giordana, choć zaliczane do tzw. włoskiego weryzmu, w rzeczywistości jest opowieścią miłosną osadzoną w realiach rewolucji francuskiej. Mariusz Treliński dostrzegł w niej przestrożę przed władzą, która w obronie swych idei pozbywa się ludzi mających w sobie choć odrobinę zwątpienia. To uniwersalne i bardzo współczesne przesłanie.

Spektakl składa się z dwóch części. W pierwszej reżyser zderza ze sobą dwa światy. Ten, przeciwko któremu skierowany jest bunt, przegra, bo jest już martwy, choć piękny, ale tylko tak, jak efektowna kolekcja zasuszonych motyli. Musi więc nadejść rewolucja, lecz nie jest ona wyzwoleniem – niesie chaos i zniszczenie. Treliński przedstawia ją jak szaleńczy kabaret, śmiertelnie groźną zabawę thumu w cieniu gilotyny. Część druga to teatr naprawdę dużego formatu. Surowego, lecz trafnie pokazującego, że w czasach terroru i głoszenia szczytnych hasel giną jednostki najbardziej wartościowe. Finał ma zaś wagę wielkiego symbolu, jest ostrzeżeniem, które z pewnością pozostaje w pamięci widza.

W poznańskim zespole reżyser znalazł partnerów do realizacji swych pomysłów. Do prawdziwego sukcesu zabrakło jeszcze jednego partnera, którym powinien być dyrygent. Tymczasem Grzegorz Nowak poprowadził orkiestrę z rzadko spotykanym beztrojskim podejściem do muzycznej materii opery.

Chciał, by orkiestra brzmiała efektownie, i nawet momentami mu się to udawało. W masie potężnych dźwięków zaginęła jednak uroda melodii, którymi przepełnione jest dzieło Giordana. A co najgorsze – powstała przepaść między orkiestrowym kanałem a sceną.

Z tego względu trudno jest oceniać efekty starań poznańskich śpiewaków. Musieli nie tylko pokonać własne słabości, ale i zmagać się z dyrygentem niedostrzegającym solistów. Gdyby kto inny prowadził spektakl, może wyżej należałoby ocenić wysiłek Michała Marca, który starannie przygotował tytułową partię, pełniejszym blaskiem zabrzmiałby głos utalentowanego Adama Szerszenia (Gerard), a Galina Kuklina (Madeleine) miała by szansę staranniejszego wykończenia poszczególnych fraz.

Premierą „Andrei Cheniera” Grzegorz Nowak zainaugurował pracę na stanowisku generalnego dyrektora muzycznego w Poznaniu. Ma kierować tamtejszą filharmonią i wspierać Teatr Wielki. Po tym spektaklu można się obawiać, że operę i dyrygenta czeka trudny okres.

Jacek Marczyński

Umberto Giordano „Andrea Chenier”. Reżyseria Mariusz Treliński, dekoracje Boris F. Kudlička, kostiumy Magdalena Tesławska, Paweł Grabarczyk, choreografia Emil Wesołowski, kierownictwo muzyczne Grzegorz Nowak. Teatr Wielki w Poznaniu, premiera 12 marca.

Premiera „Andrea Chenier” w reżyserii Mariusza Trelińskiego

Kabaret pod gilotyną

Dla nobliwej publiczności, wciąż nieprzywykłej do tego, by operze dodać odrobiny wulgarności i perwersji, poznański spektakl jest wyzwaniem. Dla bezgranicznych wielbicieli reżysera – kolejnym potwierdzeniem jego artystycznej wielkości. Ja się nie oburzam ani nie wpadam w ciełęcy zachwyt. Dostrzegam natomiast, iż wiecny chłopiec Mariusz Treliński zaczyna dorastać.

Z jego dotychczasowych dużych inscenizacji operowych ta pierwsza („Madame Butterfly”) wciąż jest najlepsza. Później zaczął zachowywać się jak dziecko osozłomione nadmiarem otrzymanych zabawek – trudno mu było zrezygnować z którejkolwiek z nich. Mnożył efektowne, lecz puste pomysły, by apogeum tego osiągnąć w „Don Giovannim”. Zrealizowana niedawno w Berlinie „Dama pikowa” była pierwszym sygnałem, że być może kończy się czas beztroskiej zabawy w teatr.

Poznański „Andrea Chenier” jest podobny do jego wcześniejszych spektakli, ale i inny zarazem. Mariusz Treliński zachował inscenizacyjny rozmach, ale wie, czemu ma on służyć. Po raz pierwszy tak mocno zbliżył się do niemieckiego teatru operowego, w podobny sposób miesza epoki historyczne, przede wszystkim zaś jego „Andrea Chenier” ma ten sam rodzaj ekspresji i emocji co inscenizacje Jürgena Flimma lub Petera Mussbacha. Widz nie może liczyć na ciepłe i

ładne obrazki, ponury świat sceniczny budzi grozę i ostrzega.

Najpopularniejsze dzieło Umberta Giordana, choć zaliczane do tzw. włoskiego weryzmu, w rzeczywistości jest opowieścią miłosną osadzoną w realiach rewolucji francuskiej. Mariusz Treliński dostrzegł w niej przestrogę przed władzą, która w obronie swych idei pozbywa się ludzi mających w sobie choć odrobinę zwątpienia. To uniwersalne i bardzo współczesne przesłanie.

Spektakl składa się z dwóch części. W pierwszej reżyser zderza ze sobą dwa światy. Ten, przeciwko któremu skierowany jest bunt, przegra, bo jest już martwy, choć piękny, ale tylko tak, jak efektowna kolekcja zasuszonych motyli. Musi więc nadejść rewolucja, lecz nie jest ona wyzwoleniem – niesie chaos i zniszczenie. Treliński przedstawia ją jak szaleńczy kabaret, śmiertelnie groźną zabawę tłumy w cieniu gilotyny. Część druga to teatr naprawdę dużego formatu. Surowego, lecz trafnie pokazującego, że w czasach terroru i głoszenia szczytnych haseł giną jednostki najbardziej wartościowe. Finał ma zaś wagę wielkiego symbolu, jest ostrzeżeniem, które z pewnością pozostaje w pamięci widza.

W poznańskim zespole reżyser znalazł partnerów do realizacji swych pomysłów. Do prawdziwego sukcesu zabrakło jeszcze jednego partnera, którym powinien być dyrygent. Tymczasem Grzegorz Nowak poprowadził orkiestrę z rzadko spotykanym beztroskim podejściem do muzycznej materii opery.

Chciał, by orkiestra brzmiała efektownie, i nawet momentami mu się to udawało. W masie potężnych dźwięków zaginęła jednak uroda melodii, którymi przepełnione jest dzieło Giordana. A co najgorsze – powstała przepaść między orkiestrowym kanałem a sceną.

Z tego względu trudno jest oceniać efekty starań poznańskich śpiewaków. Musieli nie tylko pokonać własne słabości, ale i zmagać się z dyrygentem niedostrzegającym solistów. Gdyby kto inny prowadził spektakl, może wyżej należałoby ocenić wysiłek Michała Marca, który starannie przygotował tytułową partię, pełniejszym blaskiem zabrzmiałby głos utalentowanego Adama Szerszenia (Gerard), a Galina Kuklina (Madeleine) miała by szansę staranniejszego wykończenia poszczególnych fraz.

Premierą „Andrej Cheniera” Grzegorz Nowak zainaugurował pracę na stanowisku generalnego dyrektora muzycznego w Poznaniu. Ma kierować tamtejszą filharmonią i wspierać Teatr Wielki. Po tym spektaklu można się obawiać, że operę i dyrygenta czeka trudny okres.

Jacek Marczyński

Umberto Giordano „Andrea Chenier”. Reżyseria Mariusz Treliński, dekoracje Boris F. Kudlicka, kostiumy Magdalena Teslaw-ska, Paweł Grabarczyk, choreografia Emil Wesołowski, kierownictwo muzyczne Grzegorz Nowak. Teatr Wielki w Poznaniu, premiera 12 marca.

Recepcja - nr 63 15 III 2004